



Piotr Tiszczenko

Ponury dzień

Piotr Tiszczenko

Ponury dzień

Myśli o tym co za mgłą

© Copyright by Piotr Tiszczenko

Wydanie I 2023

Ilustracja na okładce:
Piotr Tiszczenko

Skład i lamowanie:
Piotr Tiszczenko

ISBN 978-83-969575-0-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody autora zabronione.

Książeczka ta powstała jako owoc kilkuletnich filozoficznych wędrówek w głąb siebie. Teksty w niej zamieszczone w większości pochodzą z bloga *Ponury dzień*. Zostały jednak poprawione i uzupełnione, tak by sprawiały wrażenie pewnej mniej lub bardziej zamkniętej całości.

Autor życzyłby sobie odnaleźć czytelnika, który zwykł nie dowierzać światu i samemu sobie - nieufnego, a przede wszystkim lubiącego dziwić się.

Zawarte tu myśli mogą wydawać się pesymistyczne, a nawet ponure, jednak w miejscu za mgłą, do którego zdążają otwiera się surowa przestrzeń, gdzie powietrze jest czyste i rześkie, a oddech lekki.

*Kto poznał świat, znalazł trupa,
a kto znalazł trupa, świat nie jest go wart*

Ewangelia według Tomasza

Czy nie jest nieskończenie dziwne, że musimy pożegnać się z jedynym co znamy i powitać coś całkowicie obcego? Co prawda, śmierć to ta piękna pani, z którą nikomu niczego nie brak: Śmierć obecna jest zawsze teraz. Obecna jest w każdej chwili życia, tak jak każda inna chwila życia zawsze istnieje w płaszczyźnie „teraz”. Wszystkie chwile są w tym sensie razem. Ale skoro, kiedy śmierć jest, to nie ma już chwil, bo nie ma mnie - to, kiedy są chwile, nie ma śmierci. Gdzieś może majaczyć jedynie widmo jej, zanim nadejdzie chwila ostatnia. Lecz śmierci samej tam nie ma. A czy jest, kiedy śnię bez snów? Czy była zanim się urodziłem? A może była krótko nawet po moim urodzeniu, zanim jeszcze poszła w ruch maszyna mojej świadomości?

Nieskończenie dziwne jest, że mamy naraz tylko chwilę, której nie znamy. Obcą, nową, dopiero co narodzoną chwilę. A wszystkie chwile, które poznaliśmy, chwile określone, zamknięte, wygasłe - cały ten świat wyobrażony chwil – tracimy z każdą chwilą na nowo. Zagrzebujemy w pamięci martwe chwile – wspomnienia, szczątki chwil,

z których powstaje świat. Świat jest zawsze trupem, mumią skleconą ze szczątków żywych chwil. Świat nigdy nie jest teraz. Zawsze należał do przeszłości. Z przeszłości zrodzony - nie dla życia - lecz dla wspomnień, marzeń, obaw, trosk i pragnień.

Świat, to zawsze zaświat.

Czy to nie jest nieskończenie dziwne, że musimy pożegnać tę mumię – jedyne, co znamy - i powitać coś całkowicie obcego –
– nowonarodzoną chwilę?

1

Przeczytałem o pogrzebie Attyli, którego pochowano w trumnie, jak pisał Jordanes, „z trzema metalowymi płaszczami”: złotym, srebrnym i żelaznym. Rozmyślałem potem, co on mógł sobie myśleć o życiu. Raczej szybko zorientował się w swojej samotności i została mu jedynie siła. Zapewne także prawda tej siły. Jak drapieżnemu ptakowi. Znana jest opowieść jak to przyjmował bizantyjskich posłów w stroju prostym, niebarwionym, otoczony dworzanami, z których kapalo złoto i srebro. Znaczący obrazek. Chyba brzydził się starością. Jeśli tak, to znaczy, że piękno było najważniejsze. A potem przeczytałem, że umarł pijany na własnym ślubie. O ile tak faktycznie było, to przecież tylko pozorne naruszenie wizerunku estety. Tak, czy inaczej, pamięć w ludziach jest niepewna. Zawsze niesprawiedliwa. Opowiadano o nim potem nawet na Grenlandii. Chociaż, czy o nim właściwie? Nazywano go tam Atlim. Żył sobie kiedyś niejaki Atli i warto o nim zaśpiewać pieśń. Gdzie żył? Kiedy? Gdzieś, w jakimś *illo tempore...* Nikt cię nie zna, nikt nie widzi tego, co ty widzisz. Nawet bogowie. A może oni jednak? Opowiadamy sobie o innych nasze własne fantazje.

Więc co z pięknem, które przeżywasz? Trzeba by mu nadać jakiś byt własny. Inaczej zniknie w pustce jak wodospad. Prawda, dobro, czy piękno? Każde z nich przeczy pozostałym. Które wybieram? Bo należałoby wybrać. Nie da się przecież wszystkich ich szanować

jednocześnie. Chyba że okazuje się właśnie, że to nie ja wybieram. Więc piękno, czy prawda? Prawda - może tylko dlatego, że piękno nadaje jej znaczenie. Zwłaszcza, gdy wydają się leżeć z dala od siebie. Ale piękno - samo w sobie nawet... Także na przekór prawdzie. Trudna zagadka.

2

Kiedy patrzę na ptaki, wiem, że nie wiedzą, że umrą. Żyją szczęśliwe w wiecznej terażniejszości. Nie znaczy to, że nie może ich opaść jakaś śmiertelna groza - coś w tym rodzaju pewnie przytrafia im się od czasu do czasu i mija tak szybko jak się pojawiło. Nawet jeśli przydarzy im się doświadczenie traumatyczne, które potem ciągnie się za nimi w postaci nękających emocji, to przecież nie mogą wiązać ich z żadnymi wyobrażeniami o swoim życiu i jego końcu, ponieważ nie wyobrażają sobie nawet siebie samych, swojego życia, a tym bardziej świata, w którym (według naszego ludzkiego oglądu) przyszło im istnieć.

Odczuwają więc przykrość jako na przykład przymus ucieczki, lęk, ale nie mają powodu do zadręczania się jakimikolwiek konsekwencjami tych przykrych odczuć. Owo zadręczanie jest wyłączną domeną kalekiej istoty, którą jest człowiek. Istoty przypadkowo obdarzonej przekleństwem samoświadomości.

Czy można więc powiedzieć, że śmierć jest obca całej ożywionej i nieożywionej naturze, poza tą jej częścią, która nazywa się ludzką wyobraźnią?

3

Pełne zanurzenie! Zastanawiam się nad przyczynami, dla których odczuwam, że śmierć nie jest ostatecznym rozwiązaniem problemu istnienia (bo życia, owszem). Śmierć wyzwala z egzystencji jednostkowej, zamkniętej w swojej własnej historii. W tym sensie jest obietnicą ucieczki w niebyt. Ale ten niebyt odnosi się tylko do tego, co

każe mi oddzielać się od całej reszty świata - troszczyć się o siebie.

Odnosi się do czegoś, co jest całkowicie pozorne. Do tego lustra tworzącego wirtualny byt, do „mechanizmu powiadamiania o stanie”, do strażnika, którego nazywam świadomością. Po mojej śmierci nie znika więc to coś, co nieustannie mnie ma i obejmuje. To coś rodzi się wciąż od nowa w każdej istocie. Co tam w istocie, w każdej chwili, gdzie coś jest! Po mojej śmierci będę więc w innej istocie i całkowicie przeświadczony, że jestem tylko nią, i że żyję po raz pierwszy (nie mam na myśli reinkarnacji, nic tu się nie inkarnuje, wszystko jest „teraz” i „razem”). Albo choćby tak: Będę znów sobą, żyjąc w identyczny sposób, od początku do końca, w tym samym, swoim czasie. nieskończoną ilość razy, wciąż przeświadczony, że jest to pierwszy raz. I znowu, i znowu... Zawsze od nowa - w tej samej, dzisiejszej, ale także w każdej innej formie, jaka kiedykolwiek mogła zaistnieć.

Zgodnie z taką perspektywą, istnienie zdaje się jakimś kompletnym oblędem i pułapką bez wyjścia. Łatwo jest tutaj zrozumieć intencje Buddy, który szukał z niego dramatycznej ucieczki, postulując wiarę w możliwość wyzwolenia przez oświecenie i zanegowanie swojej jednostkowości. Byłby to rodzaj przebudzenia z zamknięcia we śnie, w którym wydaje się nam, że jesteśmy tym, kogo śnimy, nie zaś tym, kto śni nas. W tym sensie, perspektywa przebudzenia może być kusząca, jednak wydaje mi się jedynie przejawem chciejstwa. Fantazją religijną zrodzoną z lęku, podobnie jak inne pomysły o zbawieniu.

Pytanie: Dlaczego tak mi się wydaje? I drugie pytanie: Dlaczego jestem jeszcze skłonny krytycznie traktować swoje intuicje w tym względzie, przypisując łatwo zdrową słuszność postrzeganiu czyisto zewnętrznemu i swojskiemu złudzeniu codzienności? Myślę, że przyczyna tej nieufności do siebie leży w przekonaniu, że takie obawy i refleksje o egzystencji są czymś chorobliwym, jakąś upośledzającą nadwrażliwością, którą lepiej od siebie odpychać, żeby móc normalnie zanurzać się w życie tak, jak inni są w nim zanurzeni. Nawet przy całej świadomości, że to iluzja, ponieważ samo jej uświadomienie,

nie przynosi wyzwolenia. Wyzwolenie byłoby możliwe dopiero po uniezależnieniu się od odczuć i emocji. A od nich niezależny nie będę, czegokolwiek bym sobie nie pomyślał i nie wyobraził.

Wreszcie, nawet pomimo tak rozumianego wyzwolenia, pozostałaby zawsze kwestia „tego co nas śni”. Oznacza to, że mimo mojego odczucia chwilowej (bo tylko do śmierci) ulgi, cała reszta „tego co śni” pozostawałaby wciąż zanurzona we śnie (koszmarnym albo przyjemnym, sensownym albo nie). „Co z nimi wszystkimi? Przecież to też ja!” Wobec tego nierozwiązywalnego problemu jedynym wyjściem wydaje się odurzenie, przyjęcie iluzji i staranie o to, by zdawała się ona spójna, sensowna i satysfakcjonująca. Oczywiście, jeśli kogoś stać na taką hipokryzję i wyparcie.

A więc zwykle zanurzenie w życiu - w rzeczywistości, mniej lub bardziej cudownej i wymyślonej - z całą w nią wiarą - jest najskuteczniejszym rodzajem eskapizmu! Ratunek przed wrzuceniem w świat, to pełne w nim zanurzenie. Bez pamięci.

Rozmyślałem o tym dziś, zastanawiając się, czy zapisanie tych rozważań sprawi, że tak jak w przypadku wielu innych myśli, pozbędę się ich z umysłu, że przestaną one zapładniać go swoim nierozwiązaniem. Jednak, czy chciałbym tego, przy jednoczesnym niewyżbyciu się emocji, które leżą u ich podstaw? Nie wiem, ale może tym razem ten eksperyment przynajmniej wskaże mi jakąś nową perspektywę?

4

Darwinowi przypisuje się stwierdzenie, że niekoniecznie najbardziej inteligentne osobniki danego gatunku osiągają sukces ewolucyjny, ale raczej te, które potrafią najlepiej przystosować się do zmieniających się warunków. Przy okazji tej myśli miałem refleksję taką: Sądzę, że przetrwanie nie stoi wysoko w mojej hierarchii wartości. Sukces reprodukcyjny nie jest dla mnie ważny, podobnie jak ostateczne zachowanie własnego życia. Dużo ciekawsze i piękniejsze wydaje mi się raczej zaprzeczanie tym dążeniom, którym tak bar-

dzo ulega ogół. Co wobec tego powinienem myśleć o swoim życiu w świecie, tak by zachować wewnętrzną zgodność ze sobą samym, harmonię? Czy powinienem troszczyć się o doskonalenie, wzrost, o siłę wewnętrzną?

O ile troska o sukces w świecie, łąduje raczej pod koniec listy rzeczy ważnych, to zachowanie ostrości umysłu i poczucia wewnętrznej siły wydaje się niezbędne do tego, by nie ulec mimowolnie temu samemu, czemu ulega ogół (np. kiedy osłabnę i utracę poczucie gruntu wewnętrznego - „tego co moje”) i nie zanurzyć się w pomieszaniu i dysharmonii, gdzie można uznać za prawdziwe np. przeświadczenie, że zmarnowało się życie, bo się nie dbało o karierę zawodową, czy sukces materialny.

Nawiasem mówiąc, pociągające mnie elementy surwiwału (tej przecież „sztuki przetrwania”, a więc „zachowania siebie”), pociągają chyba tylko poprzez swoje skojarzenia z przygodą i ze względu na pewną atmosferę, a nie po to bym mógł rzeczywiście do tego zachowania siebie dążyć, wierząc w nie jako wartość samą w sobie. Nawet przyjemność, którą odczuwam na myśl o budowaniu jakiejś obrony, gromadzeniu zapasów i rośnięciu w siłę, na wypadek rozmaitych kryzysów – ta niewinna zabawa w przygotowywanie się – jest tym czym jest właśnie dlatego, że traktuję ją jako rodzaj gry, której zasady przyjmuję po to, by wytworzyć w sobie poczucie celu, dążenia i bliskości przygody. Służy więc ona ostatecznie podtrzymywaniu znaczenia codziennej egzystencji i umożliwia godzenie się z nią. Nie ma tu raczej niczego duchowego, a już na pewno nie ma tu woli przetrwania samej w sobie, a więc jakiejś woli „odniesienia życiowego sukcesu”. Po co więc troska, skoro traktuję te dążenia, podobnie jak życie swoje w ogóle, jako grę jedynie?

Dziecinna jest przecież i psychologicznie nieopłacalna zależność między satysfakcją z gry, a jej rezultatem. Podobnie ma się chęć udowodnienia swoich racji w dyskusji, do poczucia, że to była dobra dyskusja.

5

Chciałbym być czymś nieożywionym – promieniem światła przemierzającym wszechświat. Czy nie jest tak, że być człowiekiem znosnie można tylko wtedy, gdy się do człowieka zdystansuje, gdy się o nim zapomni? Pomyślałem o tobie, że zabrałbym cię w taką podróż, gdzie my oboje, razem stanowilibyśmy ten sam promień. Wędrowalibyśmy przez kosmos, odwiedzali planety i gwiazdy, ślizgali się po powierzchniach wszystkich rzeczy. Także tych brzydkich, bo przecież żadna z tych rzeczy nie miałaby dla nas znaczenia. Akceptowalibyśmy wszystkie. A one stawałyby na naszej drodze. Ale też, przecież, gdybym ci w ten sposób pokazał jakieś najpiękniejsze zjawisko, jakiś przyływ w Żlebie Tęczy, to on również nie miałby już znaczenia dla nas, jako promienia światła. I chyba tylko tak mogę opowiedzieć cokolwiek i tylko w ten sposób mogę pragnąć nie być sobą, pragnąc zostawić wszystko. Wiem też, że ty byś tego nie chciała. Nie chciałabyś opuszczać ludzkiego świata. Bylibyśmy jednak promieniem, który oświetla wszystko. Tak, istniałby tylko ten jeden promień, który dociera wszędzie gdzie może być. A potem także na koniec czarnej dziury, tej nieskończonej długiej króliczej nory, tej bramy na drugą stronę świata – do jakiegoś kolejnego świata. Może. I pewnie jeszcze dalej i znów, gdzieś po drugiej stronie, gdzie także tylko my byśmy wszystko oświetlali swoją długą wędrówką. Bo przecież, nawet w tej ciemnej bramie, ani na chwilę nie stracilibyśmy tempa. Przynajmniej w naszym odczuciu. I wtedy też obserwowalibyśmy siebie samych z oddali, z innych „teraz” - jak zawsze - jak zakrzywiają się i wiją nasze ścieżki na mapie czasu, tego ruchomego obrazu wieczności.

6

Podoba mi się wschodnio-genetyczna koncepcja bytu, a raczej bycia, jako umysłu. Nie mojego umysłu, ale umysłu w szerszym sensie. Czy jednego tak zwanego Umysłu? Nie. Nie kategoryzujemy tak.

Po prostu umysłu: „wszystko to umysł”. Czyj? Nie wiem. Nie wie tego to, co jest „ja”. Być może niczyj. Swoją sam, albo i nie swój. Im mniej o nim, tym lepiej. Ale, w każdym razie, on to właśnie byłby byciem. Po nim byt statyczny, przecież zawsze w swojej bytowości stwierdzanej. I dopiero na końcu świat, który już tylko modelem przecież bytu - ubraniem z wyobraźni. Że umysł w mózgu i z mózgu? Raczej: mózg, to sen umysłu. Ale bycie samo – czy to umysł właśnie?

Myślałem tak patrząc jak się żarzy wschodzące w styczniu słońce. I myślałem o nim - iskra w popiele. Że to gwiazda - w wiecznym płynięciu rzeki Teraz zastygła? Dlatego kula akurat, a nie spirala albo choćby płaska kartka? Na pewno nie tylko, i nie tak akurat wyłącznie, jakby się zdawało.

A kto wie jak? Na pewno nie człowiek.

7

Zasłyszałem u któregoś z nestorów filozofii polskiej, że szczególnie ujmuje go myśl o tym, że filozofia - w przeciwieństwie do nauki - jest rzeczą, której doświadcza się przede wszystkim w sobie samym i dla siebie samego.

Dodałbym od siebie i dla siebie, że najlepsze filozofowanie jest wtedy, gdy się każdej swojej i nieswojej wiedzy odmawia zaufania.

8

Leszek Kolankiewicz w *Dziadach. Teatrze święta zmarłych*¹ przywołuje plemię Indian Bororo z Amazonii, które podczas ceremonii pogrzebowych dzieli się na dwie grupy. Pierwsza z nich to widzowie, a druga tancerze, którzy ukazują w swoim korowodzie powrót zmarłych. Ta forma kultu przywiodła mnie do wyobrażenia o postaciach Świętego Mikołaja, Welesa, Odyńa i im podobnych, przynoszących prezenty lub różgi w okresie bożonarodzeniowym.

¹Leszek Kolankiewicz, *Dziady. Teatr święta zmarłych*, Gdańsk 2020.

Postaci te mają związek ze światem chtonicznym, podziemnym i są jego reprezentantami, a co za tym idzie, wiedzą lub wręcz uosabiają duchy zmarłych przodków, które w okolicach świąt przesilenia zimowego - czyli śmierci i narodzin nowego słońca – powracają, by dokonywać rozliczenia żywych, darząc ich podarkami, albo, w sposób mniej lub bardziej symboliczny, karząc za niegodne postępowanie.

Można by to wiązać z rytuałem odnowienia i ponownej kreacji świata, poprzez jego powrót do początków, do pierwotnego chaosu, do „illo tempore” - owego dawnego czasu, który jest poza czasem, do dzieciństwa świata, ale też dzieciństwa ludzkości.

Rozliczona z duchami przodków i odnowiona ludzka społeczność wchodzi dzięki temu, wraz z młodym słońcem, w kolejny cykl świata, w nowy rok.

Szczególnie sugestywne są tu postacie mityczne w rodzaju znanego z Niemiec, Austrii, Włoch, Chorwacji i Słowenii Krampusa, czy skandynawskich trolli, które jako istoty o cechach wyraźnie chtonicznych, odgrywają rolę „dostarczycieli różg”, która to pierwotnie była zapewne związana z powracającymi w tym okresie (od 6 grudnia do 6 stycznia) duchami zmarłych.

9

Wyobraźmy sobie rodzaj grzyba, który porasta usta martwego człowieka. Powiedzmy, że ma barwę niebieskawą z białymi akcentami. Trup zaś jest już wysuszony i w znacznym stopniu zmumifikowany, jednak grzyb na razie opanował w sposób widoczny tylko część jego ust. Gdyby ten grzyb mógł posiadać świadomość swojego istnienia, uznałby pewnie ludzkie zwłoki, dzięki którym żyje, za swój dom i za cały dany sobie świat. Trudno oczekiwać, że mógłby próbować powiedzieć coś o istocie tych zwłok, a co dopiero o tym, kim mógł być człowiek, do którego należały. Wyobraźnia grzyba, mimo jego zakładanej przez nas inteligencji i świadomości, zapewne

nigdy nie byłaby w stanie przedstawić sobie czym mógł być człowiek, którego zwłoki grzyb teraz zamieszkuje. Przypuszczalnie określałby swój świat - czyli zwłoki - jako pewnego rodzaju pierwotną materię, której struktura byłaby dla niego kompletnie niezrozumiała i całkowicie odmienna od jego struktury. Gdyby jednak próbował tłumaczyć ją sobie w jakiś sposób, jego wizje budowane by były w oparciu o jego stosunek do owej pierwotnej materii, czyli wyobrażałby sobie na przykład, że zwłoki, czyli jego świat, są po prostu większym od niego grzybem, który na swój sposób żyje, a jego istnienie jest sensowne i celowe dla niego samego.

Wobec świata, który jawi nam się jako dom, my - ludzie, podobni jesteśmy do tego grzyba. Myśląc w ten sposób możemy więc sobie przedstawić, że również nasze wyobrażenia o wszechświecie, o czasie i przestrzeni są tylko pewnego rodzaju analogiami do tego, co stanowi podstawę naszego funkcjonowania, czyli np. do naszych zmysłów albo naszych zachowań. Świat tymczasem, jest zawsze czymś innym, niż to, czym go widzimy i nigdy nie będziemy potrafili zobaczyć, ani tym bardziej zrozumieć tego, czym on jest naprawdę, poza naszym spojrzeniem. Widzimy bowiem tylko swoje własne treści na świat projektowane. Chyba należy to sobie wyobrażać tak, że samo istnienie świata już jest jakąś naszą projekcją, a więc nasze istnienie także nią jest. Kto więc te projekcje tworzy i czy w ogóle musi ktoś taki istnieć? A może są one czymś, co jedynie objawia nam się jako projekcja, podczas gdy stanowi coś w rodzaju pozbawionej przyczyny i celu twórczości samej w sobie? I nie istnieje tu ani twórca, ani proces. Wszystkie rzeczy - cały czas i przestrzeń - znajdują się w jednym miejscu, albo nie ma ich nigdzie, a jedynym co istnieje są same w sobie wizje zdarzeń.

10

Umarł naczelnik więzienia, w którym zamknąłem się dobrowolnie. Z tej okazji, początkowo nie rozmawialiśmy o nim. Potem zaczęliśmy się zastanawiać jak to możliwe, że przestał istnieć. Następnie

zaś, zastanawialiśmy się, kiedy to się stało – kiedy przestał istnieć. Ostatecznie, zadawaliśmy sobie pytanie, czy istniał kiedykolwiek.

Są rzeczy uczuciowo emocjonalne i są rzeczy nie uczuciowo emocjonalne. Tych rzeczy nie odczuwa się, lecz widzi. Dostrzega się je od razu jako dziwność, jako prześwit zza zasłony znanego, ułożonego, rozumianego – zza zasłony świata.

Zniknął więc. Lecz kiedy? Czy już wtedy, kiedy przestał się pojawiać, choć przecież dochodziły nas wieści, że żyje, że jest? Co, jeśli już wtedy go nie było, a my jedynie wierzyliśmy, że gdzieś tam, sobie samemu, czy komu innemu, jest? Przeczuwaliśmy. Czuliśmy, ufając odczuciom.

A może zniknął dopiero w tym dole wykopanym łopatami? Zniknął dla nas. Jeśli nawet wtedy dopiero - żegnany przez zgromadzenie, zamykające opowieść o nim chwilą jego uroczystego zakopania w dole ziemnym - to tam, na tym końcu opowieści o jego byciu pojawiło się coś bardzo dziwnego. Pojawiło się zniknięcie. Zniknięcie lekko stuknęło w powierzchnię świata, niczym ceramiczna kulka w szybę. I pojawiła się tam mała szczelina. Zniknięcie jednak okazało się nie być jedynym zniknięciem. I jak krople deszczu ukazywać się poczęły kolejne zniknięcia. Wszędzie wokół zadudniło i zablysnęło w tej dudniącej ciszy wszechświat zniknąć. Przez krótką zadziwiająco chwilę zniknęło wszystko. Zniknęło, ale nikt tego nie dostrzegł. Wszyscy byli odwróceny plecami. Oni nie mieli wejść w to rozszczerzenie, nie mieli chcieć istnienia tej szczeliny, która rozszczerza każdą chwilę. Patrzyli na opowieść przyciągani hipnotyczną jej formą. Całkiem w nią wciągnięci. I nagle, tak jakby tamto jego zniknięcie niczego nie zmieniało, zamknęło się rozszczerzenie. Zamknęła się ziemia. Skończone.

Lecz przecież, kiedy zniknął? I czy zniknął już wcześniej? Dlaczego nie ma go w tej chwili? A może nie zniknął nigdy, bo nigdy się nie pojawił? Widzieliśmy go, owszem...

Lecz przecież, w tej chwili nie ma go, więc jest tak, jakby nie po-

jawił się nigdy. Reszta jest opowieścią, która skrywa. Tak jak hipnotyczna mantra wszechświat zniknąć skrywająca, jest opowieścią.

Do niej to należy ciepłe „my razem” - wobec rozszczepienia, wobec znikania. I by mogło się utrzymać, potrzebuje wciąż odwracać się plecami do rzeczy zniknąć, od wewnątrz kruszących skorupkę świata. Więc nie było go, choć mówi się o jego zniknięciu. I choć wszystko znika wciąż, a to najdziwniejsza z dziwnych chyba rzecz - że znika coś, co było – mantry będą powtarzane w każdym języku dzisiaj istniejącym i w każdym, który powstanie. Bo musi pozostawać ukryte przed człowiekiem to dudniące ciszą znikanie.

11

Z wyjątkiem stanów zdziwienia postrzegam świat trywialnie. Bierze się to stąd, że nieświadomie przyjmuję uwspólnioną, współczesną zupełnie i błahą jego wizję, jako czegoś w swojej fizyczności skończonego, jakiegoś odpychającego mechanizmu-pułapki, z którym jedynie walczyć można i to na jego tylko zasadach. A walka ta z góry skazana na porażkę. I im bliżej mi tej poniedziałkowej „hyle” (która nie tylko w poniedziałku przecież mieszka), tym bardziej mnie ta perspektywa krępuje i dusi. Nie widać z niej wyjścia, wyzwolenia. Próżny trud, próżna twórczość, bo do niczego nie prowadzi ostatecznie, ani od niczego nie ratuje.

Inaczej, kiedy poczuję zdziwienie. Nawet to tragiczne i groźne. Wtedy nie ja już, nie mój los, i nie wyzwolenie, nie przyszłość, ale dzieło, do którego wyrывa się serce – ono to staje się ważne samo dla siebie. Na pytanie po co ten trud, odpowiada serce: Nie ma w tym trudu. To wysiłek lekki, jak taniec. Nawet, gdyby był to taniec do upadłego.

A byt - nie jak świat zamknięty ludzkich oczu – staje się wtedy sobą niepoznanym! Otwarty, niemechaniczny, nieograniczony. Straszny.

Świat? Świat traci swoją wszelką dookreśloność. Nie ma już świata. Jest byt żywy. Więcej jeszcze chce się o tym powiedzieć, bo pod wpły-

wem tych zdziwień nie sprowadza się już wszystkiego – bogów, ludzi, zdarzeń, życia samego - do reguł ekonomiki materii, energii. Do tych upupiających schematów, pozbawiających czaru i barwy wszelki czar. Do tych kół ratunkowych ucieczkowej, rozedrganej psychiki, która uniknąć chce łatwym sposobem grozy życia. A kiedy jej już umyka, umyka też całemu tego życia pięknu i znaczeniu. Ratuje się w wydmuszkach bytu, które ją mają pozorem spokoju. Lecz tam spokoju nie ma. Jest niepokój wieczny bezustannej ucieczki bez dna, bez celu. To zdziwienie mówi: zawróć i przyjmij niedoskonałe, męczące, straszne - jak pełnię i doskonałość. Przestań się trudzić swoją ucieczką. Nie szukaj błogości. Zapomnij o odpoczynku.

12

Dionizos przynosi szaleństwo praczasu, z którego przybywa. Dlatego wynurza się z morza. To symbol praooceanu - pierwotnego chaosu. Szalona jest w nim tajemna jedność przeciwieństw – zgiełku i ciszy, entuzjazmu i grozy.

Kiedy stykam się z jego postacią, znajduję w sobie atmosferę swobody, lekkości względem swojego losu. Dionizos uwalnia od duszącego poczucia, że od życia należy czegoś wymagać, i że my jesteśmy swojemu życiu coś winni. Pozwala doświadczyć niewinności bytu: To jego szaleństwo - mieszanina tragedii, beztroski i upojenia – wyzwala świat z uwarunkowań, przymusów, zobowiązań, założeń... Wprowadza atmosferę niespodziewanego w bliskości chaosu, z całą jego potencją i świętą grozą. Otwiera życie na nieznanne. Każde śmiało w to nieznanne wstępować. Upaja obietnicą tanczej swobody ruchów. Może dlatego kobiety greckie, jak mało kto uwikłane zakazami, pierwsze poczuły jego zew, by uciec w góry, w dzicz, poza ekumenę. Dionizos obiecuje skarby leżące poza granicą tego, co oswojone. Dionizos, to wołanie do porzucenia troski i wkroczenia wprost w życie, w byt.